

OLA SUKIENNIK, NINA SUKIENNIK

KIRA I CZARNY RUMAK





Wydawnictwo Tandem
www.wydawnictwo-tandem.pl

Tytuł: *Kira i Czarny Rumak*
Autorki: Ola Sukiennik, Nina Sukiennik

Text copyright © by Ola Sukiennik, 2024

Copyright for this edition © 2024 by Wydawnictwo Tandem

Redakcja: Dominika Kamyszek – OpiekunkaSłowa.pl
Korekta: Ewa Hoffmann-Skibińska – Redaktor Ewa
Autor projektu okładki: Sławomir Figura
Skład i przygotowanie do druku: Marcin Matlak

Wydanie I
ISBN: 978-83-8334-983-1
EAN: 9788383349831
ISBN e-book: 978-83-8334-984-8

ROZDZIAŁ 1

TO JA, KIRA

-Kiro, dziecko kochane, gdzie ty się znowu podziewasz?!
– usłyszałam dochodzący z dołu rozgorączkowany głos mamy. – Samochód Warrenów już czeka. Tata skończył ładować nasze bagaże.

Prawie w tym samym momencie, jakby na potwierdzenie jej słów, rozległ się donośny klakson czarnej terenówki. Znałam ten dźwięk doskonale. *Oho, ktoś tu się naprawdę niecierpliwi*, przemknęło mi przez myśl.

– Zaraz schodzę! – odkrzyknęłam szybko, żeby nie wdawać się w niepotrzebną dyskusję. – Dajcie mi dosłownie minutę. Muszę tylko coś dokończyć.

Mama jednak nie przestawała mnie poganiać. Cała ona, zawsze taka sama. Nie znosiła spóźniałstwa i sytuacji, których nie miała pod pełną kontrolą.

– Pan Warren może i zaczeka, ale samolot raczej nie. Za chwilę zaczyna się odprawa. Co ty właściwie jeszcze robisz, Kiro?



Co robiłam? Dobre pytanie.

Na początku lipca wpadłam na pomysł (w mojej opinii doskonały), aby spisać wydarzenia z poprzedniego lata. „Dlaczego akurat te, a nie inne?”, zapytacie. Otóż zeszłoroczne wakacje były dla mnie najbardziej nieoczekiwane ze wszystkich do tej pory. Po prostu nadzwyczajne i niesamowite, a do tego niemal całkowicie odmieniły moje dwunastoletnie wówczas życie. Pomyślcie, że na pewno wybrałam się do jakiegoś dalekiego kraju albo lepiej – na jakąś egzotyczną wyspę. Nic bardziej mylnego. Zeszłe lato, prawie calutkie, spędziłam w Miłowie, gdzie mieszkam od urodzenia. Jakbyście nie wiedzieli, Miłowo to niewielka wieś koło Gdańska. Chciałabym móc powiedzieć, że leży nad morzem (uwielbiam morze), ale tak naprawdę mamy tutaj tylko małe leśne jezioro, a na plażę musimy jeździć samochodem. W tamtym momencie kończyłam ostatni rozdział wakacyjnych wspomnień i po prostu czułam, że nie mogę rozpocząć nowego, póki w tym nie postawię ostatniej kropki.

Uff. Udało się.

– Idę! – zawołałam ponownie, tym razem z dużo większym entuzjazmem i pewnością w głosie.

Rzuciłam ostatnie spojrzenie na ekran i uśmiechnęłam się z zadowoleniem. *Odwalitaś kawał dobrej roboty, Kiro!*, pochwaliłam sama siebie. *Czas się zbierać.*

Zamknęłam laptopa i z nim pod pachą w kilku susach pokonałam schody. W biegu pogłaskałam lekko zdenerwowanego i zdezorientowanego Leonka. Nie mogłabym zostawić

go na całe trzy tygodnie bez pożegnania. Biedak i tak nie bardzo wiedział, co jest grane. Nie rozumiał, z jakiego powodu od samego rana wszyscy latają jak koty z pęcherzami ani dlaczego nikt się nim specjalnie nie zajmuje. Leon to nasz pies, piesek, a właściwie piesinek rasy chihuahua. Jest malutki, lecz ma charakter lwa skrzyżowanego z tygrysem. Gdy coś mu się nie podoba, warczy zabawnie i szczeka ostrzegawczo. Chyba próbuje wszystkich znieść, ponieważ tak naprawdę nigdy nikogo nie ugryzł. W reakcji na moją pieszczotę też tylko szczeknął, aby wyrazić swoje niezadowolenie z zaistniałej sytuacji. Zdążyłam jeszcze cmoknąć go w czołko, a on machnął ogonkiem na znak, że mi wybacz. Obiecałam mu, że będę o nim pamiętać, po czym wysłałam do holu.

– W końcu – mruknęła mama z lekkim wyrzutem. – Kiedyś przez ciebie osiwieję.

– Straszna z ciebie maruda – odpowiedziałam. – Ale wiesz, że cię kocham.

Pocałowałam ją w policzek i ruszyliśmy do samochodu.

Za chwilę, dla odmiany, czekała mnie podróż za granicę. Razem z częścią rodziny Warrenów za niespełna trzy godziny miałam wsiąść do samolotu do Leeds. Co zdarzy się w Anglii? Tego nie wiedziałam nawet ja, bo to całkiem inna, nieznana nikomu historia.

Czułam się strasznie podekscytowana, co jest raczej zrozumiałe, ale też trochę smutna, ponieważ oprócz Leona zostawiłam w Polsce moją najukochańszą Iskrę. Iskra nie mieszka z nami, lecz w stadninie Warrenów, jednak to właśnie spotkanie



z tą kłaczą wywróciło mój dotąd spokojny, poukładany i dość przewidywalny świat do góry nogami. Wkrótce po niej pojawił się również John. John Warren nie jest jednak wierzchowcem, jeśli to akurat przyszło wam do głowy, ale najfajniejszym i najweselszym trenerem pod słońcem. I nie wyobrażajcie sobie niczego więcej!

Tymczasem zostawiam was z moimi przygodami sprzed roku. Mam nadzieję, że choć trochę polubicie mnie oraz moich przyjaciół. Muszę was jednak uprzedzić, że nasze zachowanie nie zawsze było właściwe, a stosunki między nami bywały napięte. Ale na tym świecie nie żyją sami idealni ludzie, prawda? Gdyby tak było, zrobiłoby się całkiem nudno i nie miałabym o czym pisać. Za to ważne jest, aby z własnego postępowania umieć wyciągać wnioski i by zawsze starać się żyć w zgodzie ze sobą oraz z innymi. Chyba przyznacie mi rację? I jeszcze żeby mieć marzenia, bo uwierzcie mi, one naprawdę mogą się spełnić. No to co, zaczynamy?

ROZDZIAŁ 2

ROK WCZEŚNIEJ, POCZĄTEK WAKACJI

Jak już na pewno zauważyliście, nazywam się Kira, Kira Hirsch. Ciekawe, co pomyśleliście o moim imieniu... Wyznam wam, że dawniej niezbyt mi się podobało, chciałam nawet je zmienić. Kiedy się komuś przedstawiam, zwykle po chwili ten ktoś pyta mnie ponownie i muszę mu powtarzać, ale w końcu przestałam się tym przejmować. Przyzwyczaiałam się i teraz jestem z niego dumna – zwłaszcza gdy słyszę, że jest rzadkie i niespotykane. W rodzinie Hirschów niepopularne imiona na literę K to swego rodzaju tradycja. Mój tata nazywa się Konrad, na dziadka wołano Ksawery, a na pradziadka Konstanty. Pomyślicie może, że to mało istotne informacje, zwłaszcza ta o pradziadku, lecz zapewniam was, pradziadek okaże się kluczową postacią w całej historii, mimo że od dawna nie żyje i osobiście nigdy go nie poznałam.



Opiszę jeszcze pokrótce, jak wyglądam i jaka jestem. Tak sobie wymyśliłam, że może was to zainteresować. Jestem najniższa w klasie, to niezaprzeczalny fakt. Czy się tym martwię? Zupełnie nie. Brak wzrostu świetnie nadrabiam szybkością i zwinnością. Mam niebieskie oczy i blond włosy do ramion. Nie są wprawdzie kręcone, lecz za to pofalowane i całkiem ładne. Wołałabym, żeby były jeszcze dłuższe, ale zawsze kiedy przychodzą kolejne wakacje, coś mnie kusi, by je obciąć. Najbardziej mi się podobają, gdy są rozpuszczone, ale wtedy mama mnie upomina, abym je związała, bo inaczej strasznie się plączą. Ponoć jestem też uprzejma i miła (moi nauczyciele tak twierdzą), a do tego skryta i trochę nieśmiała. To ostatnie to tylko na pierwszy rzut oka, ponieważ kiedy kogoś poznam lub gdy wymaga tego sytuacja, potrafię zabrać głos i walczyć o swoje. Rodzice uważają, że straszny ze mnie uparciuch i bałaganiara. Cóż, chyba jest w tym trochę racji – tak czy inaczej, ja to po prostu ja.

Uwielbiam czytać, rysować, oglądać filmy przygodowe i ogólnie przesiadywać w swojej sypialni, co czasami denerwuje mamę, szczególnie jak za oknem jest ładna pogoda. To ostatnie zmieniło się nieco, odkąd poznałam Iskrę, bo teraz codziennie do niej zaglądam. Przebywam więc całkiem sporo na świeżym powietrzu. Śmiało mogę stwierdzić, że stadnina i mój pokój to dla mnie dwa najlepsze miejsca na ziemi.

Mieszkamy w domu o średniej wielkości – ani dużym, ani małym. Jest dość stary i skrzypiący, choć tata z mamą pięknie go odnowili. Zawsze mnie zastanawia, co znajduje się na jego strychu. Rodzice nie pozwalają mi tam wchodzić. Twierdzą,

że są na nim tylko pająki, kurz i różne rupiecie, czyli zupełnie nic ciekawego. A jednak intryguje mnie to miejsce, bo gdyby naprawdę niczego tam nie było, raczej nie mówiliby: „Nie włącz na górę, Kiro!”.

No dobra, tyle o mnie, na razie chyba wystarczy. Reszty dowiecie się sami.

Wszystko zaczęło się w sobotę, w pierwszy wakacyjny weekend ponad rok temu. Miały odwiedzić mnie koleżanki. Mimo że nie jestem najbardziej towarzyska ze wszystkich znanych mi osób, mam dwie bratnie dusze, z którymi od dawna trzymamy się razem. Chodzimy do tej samej klasy.

Rudowłosa Weronika jest mi najbliższa, bo mieszkamy niedaleko siebie. A może jest tak z całkiem innego powodu? Po prostu nieźle się uzupełniamy, ponieważ zasadniczo się od siebie różnimy. Temperament Wery dorównuje jej ognistym włosom. Jest bardzo pewna siebie i zawsze mówi to, co myśli. Czasami nawet zanim pomyśli. Niekiedy lubi się wymądrzać, ale ma naprawdę dobre serce. Wiem, że mogę na nią liczyć, a gdyby zaszła taka potrzeba, na pewno stanęłaby w mojej obronie. Odkąd została zarażona przez Amelię miłością do koni, zwierzęta te stały się jej największą obsesją i – przynajmniej do niedawna – psuły trochę układ pomiędzy nami.



Amelia to moja druga przyjaciółka. Ma włosy czarne jak smoła, jest bardzo zabawna, uwielbia się wygłupiać, ale bywa też nerwowa i strachliwa. Często panikuje i histeryzuje. Boi się wielu rzeczy, na przykład czarnych żuków albo bazi (nawet nie pytajcie). Weronika i ja wiele razy musiałyśmy ją uspakajać. Amelka jest także największą paplą. To znaczy wcale nie jest duża, tylko prawie tak niska jak ja, w dodatku jeszcze chudsza, ale buzia rzadko się jej zamyka. Ma przez to trudności z utrzymaniem sekretów. Jest właścicielką konia i kilku innych fajnych rzeczy. Jej rodzice również posiadają własne wierzchowce. Trzymają je w stadninie Czarny Rumak. Szczerze mówiąc, zawsze mnie dziwiło, że akurat koni Amelia się nie obawia, skoro potrafi uciekać nawet przed Leonem.

Jak nakazywała nasza tradycja, zaprosiłam Werę i Amelkę na lemoniadę oraz ciasteczka, które przygotowałyśmy wcześniej z mamą. Od kilku lat tak właśnie rozpoczynałyśmy każde letnie wakacje. Dziewczyny wprost przepadają za wypiekami spółki M & K Hirsch. M to skrót od Marii, czyli mojej mamy, a K od Kiri oczywiście. Liderką tej spółki jest zdecydowanie Maria Hirsch, za to ja z przyjemnością ogrzewam się w jej blasku. Przyznaję się. Choć mama na co dzień pracuje jako farmaceutka, wszyscy uważają, że równie dobrze mogłaby być wybitną cukierniczką lub świetną szefową kuchni.

Siedziałam akurat na parapecie, obserwowałam las za oknem i rozmyślałam o planach na najbliższe dwa miesiące, gdy usłyszałam dzwonek. Zdziwiłam się, nie powiem. Myślałam,

że mam jeszcze chwilę dla siebie. Moje przyjaciółki, zwłaszcza Weronika, lubiły się spóźniać, a teraz pojawiły się prawie pół godziny przed umówioną porą.

Poderwałam się, szybko zbiegłam na dół i z uśmiechem na ustach otworzyłam drzwi. Na progu stały Weronika, Amelia oraz Elka.

– O, Ela... – wyrwało mi się. – To znaczy... bardzo miło cię widzieć.

Nie tylko stały się za wcześnie, co samo w sobie było dość podejrzane, ale w dodatku zabrały ze sobą Elę, która wtedy nie należała jeszcze do naszego ciastkożernego grona. Dopiero z czasem wtopiła się w naszą paczkę, bo kochała konie równie mocno jak my.

Wszystkie trzy miały na twarzach wypieki i dyszały, jakby właśnie przebiegły maraton. Od razu było widać, że musiało zajść coś nieoczekiwanego. Jednak nawet nie mrugnęłam. Siłą woli postarałam się, by nie okazać zbyt dużego zdziwienia ani nadmiernej ciekawości. Przywitałam się z nimi uprzejmie i spokojnie zaprosiłam je do środka. Zaproponowałam im najpierw herbatę. Miałam ochotę odrobinę się z nimi podrażnić.

Weronika wyglądała na wytrąconą z równowagi moimi przesadnymi manierami, a obie z Melą aż kipiały potrzebą podzielenia się jakimiś nowinami. Trochę chciało mi się śmiać, ale zdołałam zachować powagę.

Herbaty oczywiście odmówiły, za to z miejsca ruszyły na górę, prosto do mojego pokoju. Ledwo usiadłyśmy na dywanie, Amelia zaczęła nawijać:



– Wiesz, że od poniedziałku będziemy spędzać mnóstwo czasu w stadninie?

– Domyślam się – odpowiedziałam bez ekscytacji. – To chyba żadna nowość?

Czyżby tylko z tym do mnie przyszedł? Niemożliwe, pomyślałam.

Wiercie lub nie, ale wtedy, jeszcze rok temu, jako jedyna wyłamywałam się z tego kółka miłośniczek koni – wcale za nimi nie przepadałam. Gdy dziewczyny opowiadały o jeździe, przechwalały się najnowszymi akcesoriami i marzyły o udziale w zawodach, ostentacyjnie zmieniałam temat. Kiedy znikwały w stajni, zaszywałam się z nosem w książce lub ślęczałam nad kartkami z ołówkami w ręku.

– Właściwie to będziemy jeździć tam codziennie. Na wiele godzin. Kiro, zapisałyśmy się przed chwilą na nasze pierwsze zawody! – Prawie to wykrzyczała, a jej dość bladą buzię ozdobił wielki uśmiech.

– Zapisałyśmy się – dodała Weronika, jakby słowa Amelki wymagały dodatkowego poświadczenia. – Rozumiesz chyba, co to oznacza? Na nic innego raczej nie wystarczy nam czasu.

– Oj, nie wystarczy – wtrąciła Ela i zatarła ręce.

Tym razem nie odrzekłam zupełnie nic, bo teraz rzeczywiście mnie zaskoczyły. Siedziałam nieruchomo i spoglądałam na nie z niedowierzaniem. Poczułam ułucie w sercu. Wiedziałam, że jest lato i że dla dziewczyn oznacza to więcej czasu z końmi, ale nie sądziłam, że będą chciały spędzać tam całutkie dni. Nie tak się przecież umawiałyśmy. *A co z naszymi planami?*, przemknęło mi przez myśl. Krótko mówiąc, zostałam wyrolowana

i zrobiło mi się przykro. Całe szczęście, że świetnie czułam się sama we własnym towarzystwie, bo wyglądało na to, że właśnie zostałam na nie skazana.

– Ale nie martw się, pomyślałyśmy i o tobie. – Niezrażona niczym Weronika udawa, że nie zauważyła mojego ponurego wyrazu twarzy, na której na pewno malowało się też rozczarowanie. – Będziesz jeździć tam z nami.

Nadal nie powiedziałam ani słowa. Obserwowałam je. Byłam w stanie dostrzec, jak na ich zarumienionych buziach mieszają się szczęście i poczucie winy.

– Wszystko obmyśliłyśmy. Zapiszesz się na naukę jazdy dla początkujących i będziesz nam kibicować, podczas gdy my będziemy trenować do zawodów – kontynuowała.

– Dziewczyny – odezwałam się wreszcie. – Fajnie, że o mnie pomyślałyście – powiedziałam z lekkim przekąsem. – Ale ja wcale nie mam na to ochoty! Wiecie, że nie przepadam za końmi. Chciałam, żebyśmy spędziły razem czas, ale zupełnie inaczej, tak jak wcześniej o tym rozmawiałyśmy. Miałymy oglądać filmy, kąpać się w basenie u Amelii, robić koktajle owocowe i jeździć do miasta na lody. W stadninie miałyście być trzy razy w tygodniu, a ja bym w tym czasie czytała i ćwiczyła rysowanie.

– No tak, ale wtedy nie miałyśmy jeszcze pojęcia, że pozwolą nam wystartować w tych zawodach – odparła trochę niepewnie Amelia. Mina jej nieco zrzedła.

– Nie planowałyśmy tego, serio, ale kiedy dziś przysłała do nas Irena i nam to zaproponowała, nie mogłyśmy odmówić.



Zawsze tego pragnęliśmy. Przecież wiesz. – Weronika ponownie przejęła inicjatywę.

Amelia i Ela przytaknęły jej bezgłośnie.

– Chyba nie jesteś na nas zła? Irena to najlepsza trenerka – dodała po chwili i wyszczerzyła zęby w czymś, co miało być chyba błagalnym uśmiechem.

– Teraz to i tak bez znaczenia – odpowiedziałam inaczej, niż myślałam. Byłam zła i to bardzo. Było mi też smutno, lecz nie potrafiłam wyrazić tego wprost. W zamian ponownie wyduśiłam z siebie coś innego. – Życzę wam powodzenia. Przyjdę nawet na te zawody i będę trzymać za was kciuki. W końcu się przyjaźnimy...

– Na pewno nie chcesz chociaż obejrzeć stadniny? – Amelia nie dawała za wygraną. – Zobaczysz, spodoba ci się.

Pokręciłam głową.

– Nie bądź taka uparta! – Elka po raz pierwszy przemówiła wprost do mnie.

Weronika natychmiast zgromiła ją spojrzeniem.

– Dajmy Kirze trochę czasu. Niech się zastanowi.

– Nie potrzebuję czasu. Nie chcę zmieniać zdania – odparłam spokojnie, ale zdecydowanie. Wciąż czułam się dotknięta i urażona, a rozmowa na ten temat zaczynała mnie męczyć.

– Co w takim razie zamierzasz robić przez całe lato? – Amelia była szczerze przejęta.

– Coś sobie wymyślę. Nie pierwszy raz. Na przykład pojadę z tatą na wycieczkę rowerową albo z mamą ruszymy na plażę. A tak w ogóle to z przyjemnością posiedzę w domu, poczytam,

porysuję i może nawet napiszę książkę! – Zaśmiałam się, ale nie zabrzmiało to chyba szczerze.

– Aha – odpowiedziały chórem, choć wątpię, czy zdołałam je przekonać.

– I możecie mnie wieczorami odwiedzać, oczywiście jeśli nie będziecie zbyt zmęczone – dodałam nieco złośliwie.

– Dobra – bąknęła Ela, nie spojrzawszy nawet na mnie.

– Okej – odezwała się prawie bezgłośnie Amelia.

Zapadła niezręczna cisza. Żeby ją przerwać – w końcu koleżanki przyszły do mnie w gości, a ja jestem dobrze wychowana – zadałam im pytanie:

– A co to w ogóle za zawody?

– Wyścig przełajowy, inaczej cross – odparła Weronika, która momentalnie ponownie się podekscytowała.

– Z przeszkodami – dorzuciła Mela. – Dlatego będziemy codziennie trenować skoki.

– A o co dokładnie w tym chodzi? – zapytałam znowu.

– Ty aż tak nie znasz się na koniach?! – wypaliła zdziwiona Elka, zanim Weronika zdążyła ją powstrzymać.

– Na to wychodzi – odrzekłam. Miałam ochotę powiedzieć jej, że ona nie ma za to pojęcia o wielu innych rzeczach, na przykład fatalnie pisze wypracowania, ale ugryzłam się w język.

– W wyścigach tego typu bierze udział sporo zawodników, ale nie startują jednocześnie. Ruszają tą samą trasą w odstępach czasowych, a wygrywa ten, kto pokona ją najszybciej i zdobędzie najmniej punktów karnych – wyjaśniła Weronika. – To takie nasze lokalne zawody kwalifikacyjne przed dużo większą



regionalną imprezą. Są ważne, bo częściowo zadecydują o tym, kto będzie mógł w niej wystąpić.

– Brzmi nawet ciekawie – przyznałam. Nie oszukiwałam. Naprawdę zapowiadało się całkiem interesująco.

W tym momencie do pokoju weszła mama z tacą. Przyniosła ciasteczka – czekoladowe i pomarańczowe z galaretką – oraz szklanki z lemoniadą.

– Cześć, dziewczynki – rzuciła radośnie w stronę moich gości. – Co tam planujecie?

– Dziękuję, mamo! – zawołałam szybko, nim ktoś inny się odezwał. – Potem ci opowiem.

– W porządku. Smacznego! – odpowiedziała i wyszła z pokoju. Chyba wyczuła, że chciałam się jej pozbyć.

– Częstujcie się – zachęciłam koleżanki, choć zupełnie niepotrzebnie, bo ich ręce od razu powędrowały w stronę słodkości.

– Pychota! – wykrzyknęła niespodziewanie Ela z ustami pełnymi ciasteczkowej masy.

We trzy spojrzałyśmy na nią niemal jednocześnie. No tak, nie miała wcześniej przyjemności kosztować naszych wypieków. Wyglądała przezabawnie z brudną buzią i wypchanymi jak u chomika policzkami. Weronika i Amelia wybuchnęły czekoladowym śmiechem, zaraz potem dołączyłam i ja. Ciastka uratowały tamto popołudnie. Przez chwilę było jak dawniej.

Gdy koleżanki wyszły, pobierałam naczynia i zniosłam je na dół do kuchni. Mama dalej mieszała coś po swojemu w garnkach.

– O, jesteś! – Podniosła głowę znad kuchenki i odwróciła się w moją stronę.

– Jestem – odpowiedziałam i już miałam pobiec z powrotem, ale przytrzymała mnie za ramię.

– Co się dzieje, kochanie? O czym tak potajemnie rozmawiałyście? – zapytała, chociaż miałam przeczucie, że trochę udało się jej podsłuchać. – Obiecałaś, że mi opowiesz.

– O niczym szczególnym – odparłam pośpiesznie, bo chciałam zakończyć niewygodny dla mnie temat.

– O czymś jednak dyskutowałyście. – Nie dawała za wygraną.

Tego się właśnie obawiałam – że usłyszała to o stadninie i będzie mnie namawiać na zapisanie się na jazdę konną, a to wcale mi się nie uśmiechało. Po pierwsze, bo naprawdę nie przepadałam za takimi atrakcjami, a po drugie i chyba najważniejsze, ponieważ tak już oznajmiłam moim przyjaciółkom.

Mama najwyraźniej potrafiła czytać w myślach, bo odezwała się następującymi słowami:

– Uważam to za całkiem dobry pomysł, żebyś podeszła do stadniny i zapisała się na lekcje. Spędzisz przynajmniej czas na powietrzu i z koleżankami. Z nami będziesz mogła porobić coś fajnego w weekendy.

– Mamo, błagam, ja nie chcę do stajni! Nie lubię koni. Są wielkie i dziwnie pachną. Do tego wszędzie tam latają te okropne, gryzące muchy. Zwierzątka powinny być małe i czyste jak Leonek.



Usłyszawszy swoje imię, chihuahua zjawił się nie wiadomo skąd przy mojej nodze. Zaszczekał piskliwie i zaczął machać ogonkiem.

– Widzisz, on się ze mną zgadza!

– Nie przesadzaj – odrzekła mama. – Słyszałam, że stadnina Czarny Rumak jest bardzo przyjazna i zadbana. Sprawdziłam też w internecie. Cieszy się naprawdę doskonałą opinią. Spróbuj chociaż. Jak ci się nie spodoba, nikt nie będzie cię zmuszać.

Wiedziałam, że w tej chwili sprzeczek z nią nie ma za bardzo sensu. Wyglądało na to, że już zdecydowała, a mnie zabrakło kolejnych argumentów.

– No dobra, pojedę na te głupie konie, skoro muszę – wymamrotałam, po czym pobiegłam na górę. Usłyszałam jeszcze jak woła:

– Świetnie, wobec tego wkrótce tam podskoczymy!

Wbiegłam do pokoju i zatrzasnęłam drzwi. Usiadłam w fotelu i zaczęłam rozmyślać. Byłam obrażona, teraz nie tylko na koleżanki, ale i na mamę. *Dlaczego im wszystkim wydaje się, że wiedzą, co jest dla mnie najlepsze?! Jeśli tak bardzo chcą, abym zaczęła jeździć konno, równie dobrze mogę od razu zapisać się na zawody.* O, i to była myśl!

– Będzie się działo! – wykrzyknęłam sama do siebie i sięgnęłam po pamiętnik.

Wydawało mi się, że w ten sposób nie tylko w jakimś sensie postawię na swoim, ale dodatkowo wszystkich przechytrzę i, jeśli się uda, utrę im nosa.

ROZDZIAŁ 3

STADNINA

W poniedziałek, zaraz po śniadaniu, podjechałyśmy do Czar-nego Rumaka. Kiedy mama coś sobie postanowi, nie lubi tracić czasu i przeważnie nie ma już odwrotu. To dla mnie całkiem jasne, po kim odziedziczyłam swój upór.

Stadnina znajduje się zaledwie pięć minut jazdy samochodem od naszego domu lub około dwudziestu piechotą. Można tam też z łatwością dotrzeć rowerem.

Przyznam wam szczerze, że specjalnie ociągałam się z je-dzeniem, aby jak najbardziej odwlec tę chwilę. Wciąż miałam jeszcze nadzieję, że tym razem jakimś cudem mama się rozmyśli albo coś jej wypadnie. Oczywiście nic takiego się nie stało, wobec tego postanowiłam wcielić w życie własny pomysł, ten z poprzedniego wieczoru.

Kiedy wyruszyłyśmy, nie odezwałam się do niej ani słowem, ponieważ pomimo podjętej decyzji nadal byłam nie



w humorze. Ze wszystkich nefajnych rzeczy najbardziej nie lubię, jak inni mówią mi, co mam robić. Do tego obawiałam się spotkania z koleżankami. Może „obawa” to nie do końca właściwe słowo... Po prostu chwilowo nie miałam ochoty się z nimi widzieć. One pewnie by się ucieszyły, że zmieniałam zdanie – rzecz w tym, iż tak się wcale nie stało. Czułam się żałośnie. Przez to nawet nie zauważyłam, gdy auto zatrzymało się na parkingu przed główną bramą.

– Kochanie, jesteście – oznajmiła mama. – To faktycznie bardzo blisko nas. Aż dziwne, że nikt z naszej rodziny wcześniej tu nie trafił – dodała, rozglądając się dookoła.

– Jasne – powiedziałam od niechcenia, wysiadłam i odrobinę zbyt mocno trzasnęłam drzwiami samochodu.

– No już, nie bądź taka naburmuszona! Tu jest naprawdę pięknie. Obejrzymy wszystko, a potem zapiszemy cię na próbą lekcję.

Wspólny spacer z moją nieustępliwą rodzicielką był ostatnią rzeczą, na którą miałam w tym momencie ochotę. Wydawało mi się to jeszcze gorsze niż przypadkowe natknięcie się na Werę i Amelię.

– Wiesz co, to już wolę iść sama. Żadna z dziewczyn nie przychodzi tu za rączkę ze swoją mamusią.

Mama spojrzała na mnie i chwilę przyglądała mi się uważnie, co świadczyło o tym, że się nad czymś zastanawia. W końcu w milczeniu zaczęła grzebać w swojej przepastnej torbie. Zajął ją to chwilę.

– Masz rację – odezwała się wreszcie. – Wobec tego poszukaj koleżanek. Jeśli będą wolne, na pewno z przyjemnością cię oprowadzą i pokażą, co i jak. – Wyciągnęła z portfela kilka banknotów i podała mi je. – To na naukę jazdy. Tylko nie zgub. Ja pojadę teraz do sklepu i wrócę po ciebie za jakąś godzinę lub półtorej.

– Okej, no to cześć! – odparłam pośpiesznie i od razu ruszyłam w stronę ogrodzenia. Zawsze istniało ryzyko, że akurat w tej kwestii mama zmieni zdanie i jednak zechce mi towarzyszyć.

Pieniądze schowałam do kieszeni i szybkim krokiem podeszłam do wielkiej, kutej bramy, na której widniała ozdobna żółta tablica z czarnym napisem. Nie przeczytałam go, nie obejrzałam się też za siebie. Chciałam mieć ten temat jak naj-szybciej z głowy.

Brama była zamknięta, ale dostałam się na teren stadniny przez furtkę, która stała otworem i zapraszała do środka hasłem: „Witaj, drogi gościu!”. Przewróciłam oczami, a potem przeszłam brukowaną ścieżką w kierunku zabudowań.

Po chwili stanęłam jak wryta. Nie spodziewałam się, że teren będzie aż tak ogromny i zadbany. W tym wypadku mama miała rację, a moje wyobrażenia okazały się całkowicie mylne, bo chyba oparte na czymś, co widziałam kiedyś gdzie indziej. Tutaj między czerwonymi budynkami zieleniły się wypielęgnowane trawniki i kwitnące o tej porze roku rabatki oraz niskie owocowe drzewka. Przez chwilę poczułam się wręcz jak w parku lub, jeszcze lepiej, jak w oliwskim zoo, bo do moich



nozdrzy dolatywał jednak delikatny zwierzęcy zapach, którego nie można pomylić z żadnym innym. O dziwo, wcale nie był nieprzyjemny. Wyczułam także świeżo skoszoną trawę. Tkwiłam tak pośrodku ścieżki przez dobry moment i z zachwytem chłonełam otoczenie.

Po lewej stronie, blisko mnie, zobaczyłam duży, ogrodzony plac do jazdy, a za nim dwa kolejne, tyle że nieco mniejsze. Ktoś akurat tam ćwiczył. Z daleka nie rozpoznałam, czy są to moje przyjaciółki, ale poruszająca się między nimi trenerka zdecydowanie się wyróżniała – miała długi i jasny warkocz niczym Elsa z *Krainy lodu*. Dalej aż po horyzont rozciągało się gigantyczne pastwisko. Przy jednym z placów stała sześciokątna drewniana altana z paleniskiem, stołem i ławkami, a otaczał ją rząd iglaków. Po prawej stronie znajdowały się ceglane stajnie. Do jednej z nich przylegało coś, co wyglądało jak zewnętrzna myjnia dla koni i... tym właśnie było. Za stajniami zauważyłam kolejny zadaszony budynek, a właściwie wysoką halę ze świetlikami w dachu – krytą ujeżdżalnię. Przed sobą miałam zaś okrągły obiekt, którego zastosowania wtedy nie znałam. Teraz mogę wam napisać, że to karuzela, przy której konie same chodzą w różnym tempie.

Podeszłam bliżej. Za budynkami ścieżka ciągnęła się jeszcze dalej i wyżej. Prowadziła do domu i prywatnej posesji właścicieli. Dostrzegłam tam następne zabudowania oraz niewielki staw. Wszędzie wokół uwijało się całkiem sporo ludzi, kręciły się różne dzieciaki, ale nikt nie zwrócił na mnie szczególnej uwagi. I dobrze.

Z przodu pierwszej stajni, jakby doklejona do niej, znajdowała się stara drewniana chatka, w której mieściło się biuro. Drzwi zostawiono otwarte na oścież, pewnie dlatego, że panował upał. Z lekkim wahaniem weszłam do środka.

– Dzień dobry – odezwałam się, gdy tylko przekroczyłam wysoki próg. – Chciałabym zapisać się na najbliższe zawody crossowe. Czy mogę to zrobić u pani?

– Dzień dobry – odpowiedziała siedząca za wielkim zagrconym biurkiem ciemnowłosa kobieta. Wyglądała sympatycznie i była mniej więcej w wieku mojej mamy. – Oczywiście, zaraz wyciągnę listę. Wiesz, że nie są to zawody oficjalne i udział w nich nie ma faktycznego wpływu na rankingi?

Kiedy przytaknęłam, kobieta uśmiechnęła się do mnie szeroko i kontynuowała:

– Niemniej jesteśmy dumni, kiedy nasi zawodnicy zajmują w nich czołowe miejsca. Lubimy tę rywalizację. To nasza lokalna, prawie dziesięcioletnia już tradycja, ale może ty już o tym wszystkim wiesz? Przepraszam, nie kojarzę cię.

– Eee... Jestem tu nowa – wydukałam.

– Tak mi się wydawało. W takim razie nieco przybliżę ci temat. Konkuruje w nich pięć pobliskich stadnin, w tym nasza. Pozwala to nam wytypować najlepszych zawodników na jesienne zawody regionalne. Rozumiem, że umiesz skakać przez przeszkody?

– Tak – skłamałam. O dziwo, przyszło mi to całkiem gładko.

– Wpisowe wynosi dwieście złotych. Musisz mieć swój kask oraz kamizelkę z atestem. Posiadasz własnego konia?



– Nie. – Tym razem nie musiałam oszukiwać.

– W tej sprawie zgłoś się zatem do mojego syna Johna albo do Ireny, naszej instruktorki. Może chciałabyś przedtem ćwiczyć indywidualnie z którymś z naszych trenerów. Mamy też w razie czego kilkusobową grupkę, która przygotowuje się na te właśnie zawody. Jeśli Irena uzna, że się nadajesz, powinna cię przyjąć.

– Zastanowię się jeszcze – odparłam ze śmiertelnie poważną miną. Czułam, że się czerwienię, zaczęły mi się pocić dłonie.

Pani za biurkiem na szczęście tego nie zauważyła, bo zaczęła pospiesznie przekładać jakieś kartki leżące na blacie z jednego stosu na drugi. W końcu z miną triumfator ki wyciągnęła jedną z nich, a potem kolejną. Dała mi formularz.

– W porządku. Jak się nazywasz?